Bezpłatny dodatek do Nr 17 „Głosu Narodu“

TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 3 | Kraków, niedziela, dnia 17 stycznia 1937 r. | Rok II

Dr JANUSZ J. DUNIN-MICHAŁOWSKI

K. O. P.

Krzemieniec, w styczniu 1937.

Pisząc o Wołyniu nie można pominąć pionierskiej roli KOP (Korpus Ochrony Pogranicza). Organizacja ta położyła wielkie zasługi dokoła ugruntowania polskości na wschodnich rubieżach Rzeczypospolitej. Żołnierze KOP-u, to ludzie nowoczesnych „Mohortów“. Czujni, jak żórawie, strzegą dniem i nocą, w pogodę czy pluchę mienia Rzeczypospolitej. Mamy im tu wiele do zawdzięczenia, jeśli chodzi o zespolenie ziem wschodnich z Macierzą.

„DZIKIE POLA“.

Mieszkańcy naszych kresów wschodnich pamiętają dobrze owe lata grozy i niepokoju, które przeżyli tuż po zakończeniu wojny polsko-bolszewickiej. Były to ciężkie czasy. Bandyckie napady, rabunki, morderstwa i pożary były na porządku dziennym. Ludność kresowa przeżywała niepewność najbliższej przyszłości. Granica była źle strzeżona, a bandy rabusiów przekraczały ją swobodnie. Granica była nawet ich schroniskiem przed pościgiem naszych władz państwowych. Bandy dywersyjne zakłócały spokój nie tylko obywatela, mieszkającego gdzieś na uboczu. Bandy te w biały dzień napadały także na majątki, wsi, miasta i miasteczka, dworce kolejowe, a nawet i na pociągi. Napady takie wywoływały popłoch i zamieszanie. Korzystały z tego różne męty społeczne, przemytnicy, żywioły szpiegowskie i agitatorzy komunistyczni. Życie na kresach stało się wtedy jednym pasmem męki i niepokoju. Zdawało się nawet, szczególnie po słynnym napadzie na Stołpce, że Polska nie potrafi ukrócić anarchii kresowej, że ziemie wschodnie pozostaną na zawsze, jak za dawnych czasów, „dzikimi polami“.

O anarchii kresowej głośno się mówiło nie tylko w Polsce. Zagranica poinformowana była doskonale o tym „kotle“ kresowym... Trzeba było zaradzić złu. Więc ówczesny rząd polski energicznie zabrał się do dzieła. I tak dla ochrony i oczyszczenia naszych kresów wschodnich tworzy osobną formację wojskową, KOP, podlegającą Ministerstwu Spraw Wewnętrznych. Wchodzą w jej skład ludzie energiczni, a przede wszystkim zdecydowani na najgorsze niebezpieczeństwo... Jednocześnie usprawniono także władze administracyjne w poszczególnych województwach kresowych, mianując na wojewodów ludzi równie dzielnych i zdecydowanych. Wojewodą wołyńskim został wówczas Aleksander Dębski. Jego to właśnie Wołyniacy wyróżniają jako człowieka, choć surowego, jednak sprawiedliwego i dobrego administratora. Ze wszystkich wojewodów, jakich mieli dotychczas, jego uważają za najlepszego.

PRZYCHODZI K. O. P.

Jesienią w pierwszych dniach listopada 1924 roku wyruszyły na Wschód z garnizonów wojskowych pierwsze bataliony i szwadrony KOP-u. Oni mieli przywrócić upragniony spokój na kresach wschodnich.

Ciężki to był egzamin dla tej najmłodszej organizacji. Warunki służby były nadzwyczaj trudne. KOP jednak nie zawiódł. Wśród jesiennej szarugi, w czasie ostrych mrozów, bez odpowiednich kwater i pomieszczeń, tak dla ludzi, jak i dla koni, w trudnych warunkach żywnościowych, wśród bezdroży na odludnych bagnach, w gęstych, ciemnych i mało znanych lasach, żołnierz KOP-u pełnił swoją odpowiedzialną służbę. Alarmy, obławy krwawe, formalne potyczki z bandytami, były chlebem codziennym. Nie upłynęło kilka miesięcy, a granica została całkowicie opanowana. Spokój, gość dawny, a tak oczekiwany z utęsknieniem, zaczął zaglądać pod strzechy chałup kresowych. W pierwszym roku służby zatrzymano na granicy przeszło 5000 osób, odparto 89 band zbrojnych, zlikwidowano 51 band, które grasowały na pograniczu. Tak przedstawiał się bilans KOP-u w pierwszym roku służby.

Ludność miejscowa poczęła wracać do swych zniszczonych zagród, poczęła uprawiać od kilku lat nietkniętą pługiem ziemię. Powoli na kresach życie wracało do dawnego normalnego trybu.

Kresowiacy darzyli i darzą dzisiaj żołnierzy KOP-u wdzięcznością i przywiązaniem.

MISJA KULTURALNA.

Twórcy KOP-u (gen. Władysław Sikorski, jako ówczesny minister spraw wewnętrznych podpisał dekret o tworzeniu KOP-u) dobrze rozumieli, że bezpieczeństwa wschodnich ziem Rzeczypospolitej nie można oprzeć wyłącznie na bagnetach. Rozumieli, że tylko trud ofiarny wojska granicznego w połączeniu z misją kulturalno-ćwiatową może dać pożądany rezultat. Dlatego też na działalność kulturalno-oświatową KOP-u wśród ludności kresowej położyli wielki nacisk. I w tym wypadku KOP nie zawiódł. Dzisiaj KOP spełnia znakomicie swoją kulturalno-oświatową misję. Prowadzi wśród miejscowej ludności nauczanie powszechne, obok radia, kina, teatru amatorskiego, prasy, kursów oświatowych, świetlic, obchodów narodowych, poranków itd.

Żołnierz KOP-u dobrze spełnia swą misję. Często po służbie bierze pod rękę „cywila“ i spacerkiem wędruje od przedmiotu do przedmiotu, aby nauka, broń Boże, nie wydawała się nudną. Wtedy uczy, uczy rzeczy takich, jakie Hryćkom i Wasylom najbardziej się w życiu przydadzą.

W statystyce praca KOP-u wygląda dziś mniej więcej tak:

KOP prowadzi 576 świetlic, 67 kin, w których dotychczas 825 tysięcy ludzi oglądało obrazy na ekranie, urządza przedstawienia amatorskie, prowadząc 54 zespoły teatralne, w dorobku swoim ma już 2.975 przedstawień, oglądało je 600 tys. widzów. Ścienna gazetka KOP-u: „Na straży“ w roku 1925 odbiła 25 tysięcy egzemplarzy, a w roku 1935 doszła do 108 tysięcy. KOP-iści nauczyli także „mołojców“ kresowych różnych kulturalnych zabaw i sportów. Dzięki KOP-istom Poleszucy jeżdżą dzisiaj na nartach, Wołyniacy kopią piłkę nożną, mieszkańcy okolic Dzisny, Wołożyna i Baranowicz grają w... krokieta.

Ale to zaledwie część tego, co KOP robi dla kresów. Należy wspomnieć jeszcze o „żelaznym funduszu“ KOP-u. Z własnej woli KOP-iści składają tutaj przeszło 40 tys. zł. rocznych okładek. Fundusz ten spełnia „misje doraźne“, „doraźno — ratownicze“. Np. braknie do dokończenia szkoły w Dylewicach 1000 zł. — sumę taką wypłaca kasjer „funduszu żelaznego“, by szkołę wykończono. W Krasnem nie ma kościółka, kasjer znowu wypłaca 5000 zł. na materiały, z poleceniem, by budowano „we własnym zakresie i własnymi siłami“. Wyliczać by można takie pozycje bez końca: kościółki, kaplice, ołtarze, szkoły, nawet głośniki radiowe, urządzenie świetlic, książki szkolne, zeszyty, pióra, atrament, ołówki, nawet i bieliznę, ubranka, czapki, buty i t. d.

Albo taka akcja humanitarno - odżywcza... Trzy miliony porcyj wydał KOP na Polesiu przed wybuchem głodu, a w czasie głodu bagatelkę — bo jeszcze 1 milion porcyj. A przychodnie lekarskie KOP-u? Ile dzieci przyszło na świat pod ich czujną opieką? Ile dzieci zaopatrzyły w wyprawki, butelki z mlekiem, smoczki nawet?... Ile dobrych rad udzieliły matkom?... Ile chorych położnic odwiedziły?... I tak bez końca.

BILANS.

KOP nie tylko uczy teoretycznie i potrzebującym udziela pomocy materialnej, ale także uczy praktycznie. KOP jest wyposażony w samowystarczalność gospodarczą, zatem ma własne rolnictwo, własne warsztaty rzemieślnicze, własne budownictwo, racjonalną hodowlę ryb i zwierząt domowych. Jest najlepszą szkołą pokazową, której wpływ na ludność kresową jest ogromny i stale wzrasta.

12 lat mija od czasu jak KOP-iści objęli straż na pograniczu. Zapewnili bezpieczeństwo na ziemiach wschodnich. Wrócił spokój i ład. Odbudowano zniszczone wioski i miasteczka. Zakwitło bujnie nowe życie, podniosła się gospodarka rolna, naprawiono i pobudowano wiele nowych dróg, grobli i mostów. Otwarto setki nowych szkół, domów ludowych i świetlic, gdzie wre wytężona praca nad podniesieniem stanu kulturalnego kresowej ludności. We wszystkich tych poczynaniach biorą udział tak oficerowie i podoficerowie KOP-u jak i szeregowcy. Dają swoją wiedzę, pracę i pomoc materialną.

Dzisiaj, gdy dzięki wytężonej czujności żołnierza KOP-u bezpieczeństwo ziem wschodnich przestało już niepokoić nasze państwo, cały wysiłek pracy państwowej i społecznej prowadzi do przemiany oblicza kulturalnego i gospodarczego tych ziem, które w obecnych czasach najwięcej potrzebują opieki. W ogólnym tym wysiłku praca KOP-u zajmuje pozycję największą a zarazem pozycję godną uznania i podziwu.

ANNA TUROWSKA

KOPERNIK

(na podwórzu Biblioteki Jagiellońskiej)

Oto wciąż stoję w niemym zachwycie,
I liczę na niebie gwiazdy —
— Choć śmierć poznałem, to drugie życie! —
Planet mi dawniej nieznanych, jazdy
Wciąż płyną w otchłań tajemną,
I z mgławic skry krzeszą nowe —
A ja, jak dawniej: w dzień, czy w noc ciemną,
Przed Stwórcą uchylam głowę!...

Przechodzę wieki i pokolenia —
Szaleją wojny — drżą trony —
Wszystko wiruje... wszystko sie zmienia...
Ja, com błękitu uniósł zasłony,
Gwiazdom rozjaśnił przeloty,
I ziemi wskazał: gdzie droga!...
Wiem, że opadnie kiedyś pył złoty,
Nic nie zostanie... prócz Boga!...

FR. BIELAK

Niebezpieczeństwa „kultury“

W towarzystwie opowiada znany muzyk zabawny epizod: — W pobliżu przystanku „Szaflary Wieś“ jest studnia; właśnie pociąg zakopiański stał przy okropnej budzie, udającej stację, gdy jakaś rosła góralka, ciągnąc wiadro ze studni, śpiewała fałszywie starą piosenkę kabaretową: „Czy pani mieszka sama?“

Groteskowość tego obrazka musi każdego rozśmieszyć — ale może też skłonić do refleksji. Oto lud, którego piosenki i pieśni są chyba, wśród rdzennie polskich, najpopularniejsze — przyjmuje odpadki miejskiej kultury muzycznej i obyczajowej za swoje. Śmieć wymieciony z miasta zaplugawia wieś — z czego śmiejemy się serdecznie i jedynie w ten sposób dyskwalifikujemy wartość takiego procesu kulturalnego. Może to przyznanie się do słabości naszej, może to ma być ciche rozgrzeszenie z grzechu naszych zaniedbań — w każdym razie oceniamy choćby tym śmiechem niebezpieczeństwa takiej „kultury“.

Są one zaś tym groźniejsze, że u ogromnej masy przybyszów kulturalnych, których dziś mamy wśród siebie bardzo wielu, niebezpieczeństwo takie właśnie jest prawie niedostrzegalne, i co gorsza, nieuważane często za coś groźnego. Nowicjusze w świecie wartości duchowych kultury mniej lub więcej świadomie ograniczają bowiem pojęcie kultury do form życia, a nawet tylko do pewnych zdobyczy w zakresie technizacji życia przede wszystkim.

I tu, wydaje mi się, tkwi największe, wewnętrzne niebezpieczeństwo kultury: w fałszywym interpretowaniu samej treści tego tak niesłychanie ważnego pojęcia. Mniejsza z tym, że to mylne tłumaczenie lepiej stosowałoby się do terminu „cywilizacja“ a nie „kultura“; mniejsza zaś dlatego, że w użyciu językowym wyraźną jest dziś z Niemiec wywodząca się przewaga wyrazu kultura, a pewne zapomnienie wyrazu francuskiej raczej proweniencji jakim jest „cywilizacja“. I właśnie dość często przez kulturę rozumie się najbardziej dotykalne dobra potocznego życia, jak wygodę mieszkań, urządzeń komunikacyjnych czy rozrywkowych, umniejszanie jakiegokolwiek wysiłku ludzkiego, przede wszystkim zaś moralnego.

Tym czasem zgodzić się musimy na to, że kultura to przede wszystkim wartości i to nie materialne, tylko duchowe, że kultura to głębokie przekonanie o tym, co jest dobre a co złe, także walka o rozszerzenie jak najdalsze władzy tych ideałów, które zbudowały potężną kulturę zachodnio-europejską.

Jeżeli odważnie i szczerze zgodzimy się z tym, że kultura zobowiązuje nas do urzeczywistniania jej ideałów zawsze i wszędzie, że konsekwencją jej uznania musi być głęboko pojęta walka z wspomnianą na wstępie płytką „kulturalnością“ form życia, to i tak usunęliśmy dopiero pierwsze niebezpieczne dla kultury nieporozumienie. Są jeszcze inne, o których bardzo pięknie pisze dr B. Suchodolski (Kultura współczesna a wychowanie młodzieży, Lwów 1936, str. 56).

Zawsze grozi jej barbarzyństwo. Jakkolwiek nawet w najdzikszej swej formie okazuje się nam ono w każdym wieku, jednak podświadomie mamy pewną skłonność do pohopnego zaprzeczania możliwości barbarzyństwa w naszych czasach. Tym czasem jest ono dokoła nas nie tylko w Rosji czy Hiszpanii, nie tylko w Niemczech ale i u nas. Nazywamy je potocznie chamstwem, a objawów jego od drobnych do przygnębiających swym ogromem widzimy wiele.

Suchodolski uznaje zupełnie słusznie za najgroźniejszą formą barbarzyństwa — brak poszanowania człowieka. Przecież dziś tu i ówdzie człowieka czy miliony ludzi, uważa się za dość lekceważony materiał do eksperymentów; apoteoza kilku jednostek doskonale godzi się, a raczej właśnie wymaga zdeptania głębszego prawdziwie ludzkiego życia duchowego, ogromnych zbiorowisk. Jest to ogromnie upokarzający ludzkość paradoks, że zapomnienie o chrześcijańskim szacunku dla każdej duszy

(Ciąg dalszy na str. 2).

Niebezpieczeństwa „kultury"

(Dokończenie ze str. 1).

ludzkiej prawie w tej chwili pociąga za sobą jako karę — apoteozę jednostki, odbierającej tysiącom ludzi prawo do ludzkości.

Nie tak jaskrawą cechę barbarzyństwa stanowi niecierpliwość. „W życiu duchowym, w wychowaniu, nie wszystko da się osiągnąć szybko. Najgłębsze i najtrwalsze rzeczy muszą tu dojrzewać powoli. Sztuczne przyśpieszanie potrafi dać efekty zewnętrzne, prawdziwa kultura żyje jednak tym, co się osadza trwale w osobowości człowieka. Ten pośpiech i uwielbienie dla rekordowo szybkich wyników zniekształcają stosunek do dziejów. Uczymy się myśleć i projektować na miesiące i lata, zapominamy o pokoleniach i wiekach. A przecież zwycięstwo bliskie może być klęską daleką, a niepowodzenie dzisiejsze potrzebnym składnikiem jutrzejszego osiągnięcia. Życie dorywcze, chwilowe, z dnia na dzień, typowe dla ludów pierwotnych, nie jest i nam obce".

Chciałoby się, by te słowa głębokiej prawdy wniknęły we wszystkie umysły kierowników choćby najdrobniejszych prac kulturalnych. Ileż ucierpieliśmy i ciągle cierpimy z powodu kapryśności przemian i zmian! Narody o starej kulturze cechuje zawsze wyczucie stawania się w nas historii — my jednak, lubiąc patos efektownego pokazu na oczach historii — nie umiemy osądzić, kiedy rzeczywiście idziemy w kierunku zmian płodnych, a kiedy urządzamy ognie sztuczne efektowne lecz bez głębszej wartości.

„Siła i zdrowie kultury polegają na świeżości wiary i dyscypliny. Każda kultura jest zespołem ideałów, które stawiają ludziom wymagania. Degeneracja rozpoczyna się wówczas, gdy zamiera to zobowiązanie". Jakże nas potrafił zniszczyć snobizm kulturalny, który złudną dawał nadzieję, że można żyć na cudzy rachunek, że można korzystać z cudzego dorobku w zupełnym spokoju o przyszłość. Kiedyś Mickiewicz wspominając Rosję zastanawiał się nad fizjognomią tamtego człowieka i narodu:

Twarz każdego jest jak ich kraina
Pusta, otwarta i dzika równina;
I z ich serc, jako z wulkanów podziemnych,
Jeszcze nie przeszedł ogień aż do warzy,
Ani się w ustach rozognionych żarzy,
Ani zastyga w czoła zmarszczkach ciemnych,
Jak w twarzach ludzi Wschodu i Zachodu,
Przez które przeszło tyle po kolei
Podań i zdarzeń, żalów i nadziei,
Że każda twarz jest pomnikiem narodu.

My jeszcze w całości nie przeszliśmy tej właśnie szkoły kulturalnej, która daje jako dorobek owo piętno służby, o jakim mówi Mickiewicz, jak również nie zrozumieliśmy wielkiej prawdy, że kultura żyje pewnymi ofiarami (co też wyraźnie stwierdził Mickiewicz). Jeszcze jaśniej i wyraźniej akcentuje to Suchodolski: „Każda kultura... ginie wówczas, gdy żądza używania dóbr doczesnych wytrawi z dusz ludzkich wszelkie pierwiastki bohaterstwa, poświęcenia, ryzyka i zapału".

Książeczka Suchodolskiego wydaje się nam ogromnie aktualnym wezwaniem do duchowej mobilizacji w imię siły wewnętrznej narodu. Nie tak dawno Stefan Kołaczkowski mocno akcentował konieczność wysunięcia tych spraw na stanowisko pierwszorzędne w gospodarce narodowej, motywując tym, że nie można załatwiać spraw ekonomicznych, wojskowych i innych z opuszczeniem troski o moralną spoistość narodu. Bardzo mechanicznie załatwialibyśmy tę sprawę, układając ją w kolejkę „w miarę zgłaszania się". Zgłosiła się ona i zgłasza ciągle pierwsza, zwłaszcza odkąd zesłabło w nas napięcie woli, jakie charakteryzowało nas w czasach niewoli.

Mgr ANDRZEJ ŁADA KŁODZIŃSKI (Kraków)

STARE MIASTO — KĘTY *)

Niedawne poświęcenie zapory wodnej na Sole w Porąbce pod Kętami zwróciło uwagę opinii na ten piękny i uroczy zakątek polskiej ziemi, w szczególności na najbliższą okolicę,i położone w niej miasto — Kęty. Istotnie, Kęty zasługują na szersze zainteresowanie społeczeństwa, a to tak ze względu na swoją długą historię jak i obecny swój poziom kulturalny.

Dzięki urządzeniom (chodniki, brukowane ulice, światło elektryczne, estetyczny wygląd domów itp.) mogą Kęty stanowić dla innych miast wzór do naśladowania. Żywe tempo życia gospodarczego tworzą w nim: przemysł sukienniczy (fabryka E. Zajączka), tartaki, młyny parowe, garbarnie i przemysł żelazny. Gimnazjum zaś staje się ośrodkiem coraz żywszego ruchu kulturalnego.

Okolica zaś Kęt słynie jako idealne miejsce letniskowe, zwłaszcza tuż pod miastem położone Podlesie, wyposażone w doskonałe warunki wypoczynkowe (kąpiele w Sole, lasy szpilkowe, pobliże górskie itd.). Powstałe niedawno „Towarzystwo Przyjaciół Kęt-Podlesia" projektuje dalsze udoskonalenia (zamiana lasku miejskiego na park, założenie plaży, uporządkowanie ulic itd.).

Kęty, z którymi po wszystkie czasy było związane dzieciństwo i młodość św. Jana Kantego, — leżą na wysokości 277 m. n. p. m., w pośrodku wysłanej aluwjonami (nanosami) doliny Soły, po jej prawym brzegu, w odległości 1 i pół km. od jej dzisiejszego koryta. Dolina ta, szeroka w okolicy Kęt na 3 km, ze słabo wciętą, spływającą zakolami rzeką, przedstawia się w postaci podnoszącej się łagodnie ku południu — wydłużonej równiny. Ciekawym z punktu widzenia morfologicznego zjawiskiem jest tutaj wprost na południe od Kęt — kolanowate wygięcie górskiego progu, dochodzącego do wysokości 780 m. Wał górski załamuje się tutaj i cofa, przez co powstaje jakby rodzaj kąta prostego, którego ramionami są grzbiety górskie. Kęty ze swoją równiną opierają się właśnie o ten kąt górski. Jest dlatego bardzo prawdopodobne, że nazwa „Kęty"; pierwotnie „Kąty" (czeskie „Kutti", a łacińskie „Kanthy", stąd Jan Kanty), czyli z pochyleniem późniejszym głoski „ą" na „ę", poszła właśnie od tego kąta gór.

*) Z pracy wykonanej na Seminarium Historyczno - Prawniczym Rektora Stanisława Kutrzeby, któremu za cenne wskazówki serdecznie dziękuję.

PRZYNALEŻNOŚĆ POLITYCZNA.

Terytorium, na którym powstały średniowieczne Kęty jako osada — posiada bardzo ciekawą przeszłość. Był to bowiem ten zakątek odwiecznej Ziemi Krakowskiej, który podchodząc tuż bezpośrednio pod wschodnią ścianę starożytnego Opola, t. j. późniejszego Górnego Śląska, był dosyć luźnie pod względem geograficznym związany z całą resztą obszaru plemiennego krakowskich Wiślan. Jako położony na najdalszej południowo-zachodniej rubieży Ziemi Krakowskiej, z którą od wieków pod względem plemiennym, politycznym i kościelnym był związany — wystawiony był na pierwszy ogień zaborczości ze strony Piastów opolskich i dlatego w czasach słabości politycznej trudny do utrzymania dla dzielnicowych, książęcych władców krakowskich. Już w roku 1179 Kazimierz Sprawiedliwy, ażeby się zabezpieczyć przed wrogimi wystąpami politycznymi ze strony Mieszka Plątonogiego opolsko-raciborskiego, odstępuje mu dobrowolnie ten zakątek krakowski z przyszłymi, jako osadą, Kętami. Uwagi godną jest przy tym rzeczą, że pomimo rozluźnienia swych węzłów z Ziemią Krakowską, pozostał nadal ten obszar łącznie z Kętami pod jurysdykcją kościelną biskupa krakowskiego, a nie — jak całe Opole — wrocławskiego.

Nie sposób tutaj w krótkim przygodnym artykule przedstawić szerzej niezwykle ciekawe przejście rozbitego na cały szereg drobnych księstewek Opola — pod panowanie i zwierzchnictwo czeskie. Położone w jednym z tych lilipucich księstewek, mianowicie w księstwie oświęcimskim, dostały się Kęty wraz ze swymi piastowskimi książątkami pod zwierzchnictwo króla czeskiego w roku 1327, pod którym pozostawały okrągło 130 lat. Dopiero po tym upływie czasu, tj. w roku 1457 za panowania króla Kazimierza Jagiellończyka, staje się Księstwo oświęcimskie z powrotem składową częścią Korony pod nazwą t. zw. powiatu śląskiego, do którego weszło także, odzyskane nieco później za Jana Olbrachta, księstwo zatorskie. Podkreślić przy tym należy, że naloty czeskie, jak np.: język urzędowy czeski, prawa czesko-śląskie skasowano dopiero formalnie w tym powiecie śląskim przez t. zw. datio iuris polonici na sejmach piotrkowskim z r. 1562/3 i późniejszym o rok od niego warszawskim. Od tego czasu znowu związane są losy prawno-polityczne Kęt, łącznie z terytorium byłego księstwa oświęcimskiego i zatorskiego z Koroną aż do czasów pierwszego rozbioru w r. 1772.

NAJDAWNIEJSZE PRZEKAZY ŹRÓDŁOWE O KĘTACH.

Odrzucając bałamutną relację Długosza o rzekomym założeniu Kęt już 1200 r. przez Mieszka, ks. oświęcimskiego, zauważyć należy, że po raz pierwszy wspomniane są Kęty — jako osada n. b. wiejska — w dokumencie biskupa krakowskiego Wisława w r. 1238. Chociaż wspomniany tutaj dokument jest niewątpliwym falsyfikatem, to jednak wzmianka o Kętach w świetle innych źródeł okazuje się tutaj prawdziwą. W dotyczącym dyplomie wymienione są Kęty, jako osada wchodząca w skład świeżej fundacji wielmoży krakowskiego Klemensa z Ruszczy na rzecz opactwa Benedyktynek w Staniątkach. W ten sposób najdawniejsze Kęty byłyby prywatną własnością najpierw rzeczonego wyżej Klemensa z Ruszczy, a z kolei wchodziłyby w kompleks dóbr Benedyktynek staniąteckich. W posiadaniu tego sławnego opactwa pozostawały Kęty do r. 1260, tj. do czasów głośnej zamiany, jaka nastąpiła pomiędzy władcą ówczesnego Opola, księciem Władysławem, a tym klasztorem. W nieposzlakowanym co do swej autentyczności dokumencie z r. 1260 zamienia ks. Władysław Opolczyk położony w głębi Opola Brokot na Kęty i Czeladź. Powyższa tranzakcja z r. 1260 była niewątpliwie przedostatnim etapem dążeń politycznych tego niedoszłego władcy Krakowa w odniesieniu do Kęt i Czeladzi. Odzierżywszy bowiem Czeladź, pozyskał Opolczyk tym samym bardzo ważną dla siebie placówkę strategiczną, tj. gród położony na granicy wschodniej swego udzielnego księstwa od strony Krakowa. Natomiast Kęty, jako położone nad Sołą, a więc nieledwo w pośrodku swego opolskiego władztwa, postanowił ks. Władysław podnieść do god-

(Ciąg dalszy na str. 3).

ADAM BAR

Wśród książek

Modny dziś romans biograficzny przechodzi powolną, ale dość wyraźną, ewolucję w kierunku ściślejszego historyzmu. Od pseudopowieści Ludwiga, poprzez spowieściowaną biografię bardzo ciekawego pisarza Jelusicha i książki Zweiga romans biograficzny rezygnuje ze swoich uprawnień powieściowych, i stopniowo zbliża się do rozprawy stylem powieściowym napisanej. Tego rodzaju książką jest **Lyttona Stracheya „Królowa Wiktoria"** (tł. A. Pański, wyd. Rój). Autor nie kusi się o formę powieściową, i ma najzupełniejszą słuszność, postacie historyczne, zwłaszcza wielkie postacie, stoją najczęściej zbyt blisko naszej świadomości, aby mogły wejść w świat fantazji; ich dzieje są zbyt żywe i znane, aby mogły tworzyć interesującą intrygę, pochłaniającą naszą uwagę; przebieg wypadków, ich epilog każdy zna na pamięć, wskutek czego książkę czyta się jakoby po raz drugi, orientując się już doskonale w jej treści. Bo ujęcie artystyczne tego rodzaju romansów wymaga specjalnych warunków, a przede wszystkim nerwu historycznego. zdolności wczuwania się w psychikę ludzi i w ducha czasu. Dlatego powieści Ludwiga są pseudoromansami, a równocześnie nie są rozprawami historycznymi. Co innego, gdy pisarz rezygnuje z zakusów beletrystycznych, a zadowoli się raczej lekkim ujęciem wypadków historycznych, nie lekceważąc oczywiście wymogów naukowych. Unika wtedy niebezpieczeństwa utopienia akcji w fantazji, nie sprowadzi wypadków historycznych na bezdroża swoich osobistych poglądów, łatwiej może zdobyć się na obiektywizm, który jest najcenniejszą zaletą każdego historyka. Tą właśnie drogą poszedł Lytton Strachey. Autor opanował temat wszechstronnie, sięgnął do materiałów historycznych, zwracając szczególną uwagę na pamiętniki i korespondencje, z których wydobywał mnóstwo interesujących szczegółów. Książka jego zdecydowanie odbiega od formy powieściowej i wyraźnie zbliża się do pamiętnika. I to pamiętnika, aby tak rzec, współczesnego, pisanego w perspektywie już dość rozległej przestrzeni czasu. I w ten sposób najbardziej obiektywnego. Nie krzyżują się w nim żadne aspekty polityczne, ani dążenia socjalne; autor szuka bezstronnej oceny zjawisk, biorąc pod uwagę wszystkich ludzi, na jednej płaszczyźnie równości. Powstaje więc bardzo plastyczny obraz. Dzieje panowania królowej Wiktorii to z pewnością jeden z najciekawszych okresów historii angielskiej, choć niewątpliwie mało przetkanych wielkimi wypadkami dziejowymi. Strachey sięgnął głęboko za kulisy królewskiego życia, uchwycił wszystkie subtelne nici ówczesnych wypadków, starał się przedstawić Wiktorię nie tylko jako królowę, ale również jako człowieka, mającego swoje pragnienia i osobiste marzenia. Pierwsze lata panowania, miłość dla księcia Alberta, dźwiganie się jego wpływów, potem śmierć i tragiczna żałoba królowej, pociągająca za sobą nawet jej niepopularność w społeczeństwie angielskim, wreszcie schyłek życia — to przede wszystkim dramat człowieka przeżywającego w samotności swój smutek. Strachey w swoim dążeniu do obiektywizmu doszedł nawet do procesu odbronzowania. Wiktoria, gloryfikowana przez historyków, postawiona na wysokim piedestale patetycznego uwielbienia, w książce Stracheya jest pozbawiona aureoli wielkości staje się zwyczajnym człowiekiem, chorobliwą fantastką, słabą kobietą, która wobec ogromu przerastających jej siły zadań szuka oparcia w ukochanym człowieku. Romans królowej, jej miłość przełamująca milczenie śmierci, byłaby doskonałym materiałem do ckliwej powieści, gdyby nie miała w sobie tak wiele niezaprzeczonych pierwiastków rzeczywistości. To też w tym procesie odbronzowniczym tym silniej i tym plastyczniej ukazuje się przed oczami czytelnika postać królowej.

Godna podziwu jest swoboda z jaką Strachey porusza się w materiale historycznym, i zdolność wyczuwania ludzi epoki. Ale czasy Wiktorii zbyt żywo jeszcze istnieją w tradycji każdego Anglika, co niewątpliwie znacznie ułatwi autorowi zadanie. Trudniejsza sprawa była z drugą książką pt. **„Królowa Elżbieta i hrabia Essex"** (tł. M. Godlewskiej, wyd. Rój), opartą na materiale z XVI w. Strachey sam stwierdza, że ta epoka Marlowe'a i Spensera, wczesnego Szekspira i Bacona od Essayów była dziwnie wypełniona sprzecznościami. Dlatego jest cięższą do odczucia. I dlatego prawdopodobnie nieosiągalne jest, aby nowoczesny umysł mógł w wyobraźni wcielić się w duszę tych ludzi, sprzed trzech wieków, i poruszać się swobodnie wśród ich przyrodzonych uczuć. Im bardziej dostrzegamy ów dziwaczny świat, tym więcej staje się on daleki. Poza nielicznymi wyjątkami, może nawet z wyjątkiem jednego Szekspira, są to postacie, które znamy powszechnie, ale których prawdziwie nie rozumiemy. Przede wszystkim nie możemy objąć wyobraźnią sprzeczności tej epoki, ani pojąć ich rozumem. Jakżeż powiązać w spoistą całość brutalność tych ludzi i ich subtelność, pobożność i niemoralność? A jednak gdziekolwiek spojrzeć, widzimy to samo. Dlatego tragiczna historia miłości królowej Elżbiety i hrabiego Essex wymagała szczególnej ostrożności, należało nieomal na palcach posuwać się między ówczesnymi wypadkami, chwytać wszelkie subtelności wydarzeń, i na ich podstawie tworzyć obraz żywy, posługując się równocześnie osiągniętym już materiałem historycznym. Elżbieta, doskonale harmonizująca z ówczesnymi nastrojami, będąca zlepkiem, mieszaniną ówczesnej wysokiej kultury i jaskrawego barbarzyństwa musiała popaść w konflikt z hrabią Essex, błędnym rycerzem, romantykiem, zamieszanym wśród ludzi niespółmiernych mu duchem, uwikłanym w sieć dworskich intryg. To też miłość tych nieharmonizowanych ze sobą ludzi musiała skończyć się tragicznie. Na tej właśnie koncepcji sprzeczności dwóch natur buduje autor książkę dziwnie ludzką, a wolną od sztukateryj historycznego patosu, i dlatego doskonale zrozumiałą. Poważną w swojej prostocie i prawdziwą w swojej rzeczywistości.

Powieść **Juliusza Kędziory pt. „Marcyna"** (wyd. Rój) odznaczona pierwszą nagrodą na konkursie „Ilustr. Kuriera Codz.", jest niewątpliwie ciekawym zjawiskiem w naszej literaturze. Powieść chłopska ma już w naszej beletrystyce swoją tradycję; począwszy od Reymonta (jeżeli nie będzie się sięgało jeszcze bardziej wstecz) przechodziła ona rozmaite fazy; a więc Reymontowski sentymentalizm wsiowy, w którym były piękne dekoracje, ale nie prawdziwa wieś, aż do Orkanowskich opowiadań, odtwarzających z realistyczną wiernością szarość wiejskiego życia, niejednokrotnie, zależnie od nastrojów i prądów literackich, powieść ta zmieniała swoją formę i oblicze. To pewne jednak, że Orkan zapoczątkował nową fazę, w której odrzucono wszelką czułostkowość i zaczęto do powieści wprowadzać twarde i znojne życie wsi. Kędziora należy do szkoły Orkanowskiej. Między nim a Reymontem jest zasadnicza różnica (choć na upartego można by się doszukać pewnych

Stare miasto — Kęty

(Dokończenie ze str. 2)

ności miasta, przywilejem lokacyjnym z r. 1277. Dostają one przy tej sposobności ustrój wzorowany na prawie najstarszego na Śląsku miasta polskiego, lokowanego na prawie niemieckim, w tym wypadku Lwówka, czyli z niemiecka Löwenberga, założonego przez Henryka Brodatego już w roku 1217.

DZIEJE KĘT JAKO MIASTA.

Przechodząc różne koleje losu, stają się Kęty przelotnie w pierwszych latach wieku XIV własnością prywatną biskupa krakowskiego Jana Muskaty, prawej ręki czeskich Wacławów, najzaciętszego wroga Łokietka i polskości. Do ich przelotnego posiadania doszedł Muskata w ten sposób, że je otrzymał od Mieszka cieszyńsko-oświęcimskiego wzamian za odstapioną mu z uposażeniem wielkim kanonię krakowską. Tym miastem biskupim pozostały Kęty do śmierci Muskaty (1320).

Dalszą przełomową datą w dziejach Kęt byłby z kolei rok 1391, w którym Kęty otrzymują rozległe przywileje od Jana II oświęcimskiego, m. in. zamianę prawa lewenberskiego, którym się do tego czasu rządziły — na magdeburskie. Na te także lata przypadają dzieciństwo i młodość najznakomitszego syna Kęt, Jana Kantego Wacięgi, późniejszego mistrza Akademii Krakowskiej i świętego patrona Polski i Litwy. Do szeregu wybitnych osobistości. stanowiących chlubę Kęt, przybywa w kilkaset lat później Ambroży Grabowski, zasłużony badacz i miłośnik miasta Krakowa.

HERB MIASTA.

Herb Kęt, którego symboliczne znaczenie rozwija pięknie na podstawie ustnej tradycji Wincenty Pol, przechodził w ciągu wieków długą ewolucję. W swej dzisiejszej postaci przedstawia on tarczę o dwóch równych rozmiarami polach, z których prawe pole tarczy, koloru ponsowego, wyobraża połowę orła białego ze złotą koroną na głowie, lewe zaś pole na tle niebieskim rozpada się na dwa odcinki, górny i dolny, z których pierwszy przedstawia trzy jaja orle, dolny zaś — srebrzystą wstęgę Soły w kształcie wielkiej litery „S". Pierwotnie w swej najstarszej, znanej nam z XVI wieku, postaci tarcza herbu nie jest podzielona, nie było także na niej wstęgi Soły, ani trzech jaj orlich, lecz zamiast nich trzy kule, a barwy według wszelkiego prawdopodobieństwa były odmienne.

Bogatą więc i długą jest historia tego miasta. Przepłynęło przez nie lat 700....

—oo0oo—

Rozrywki umysłowe Nr 3/42

Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.

W numerze dzisiejszym rozpoczynamy nową serię konkursów na rok bieżący. Każdy konkurs obejmować będzie 20 zadań różnego typu. Za rozwiązanie tych zadań Redakcja przeznacza 3 nagrody: 1 **nagroda** za rozwiązanie bezbłędne wszystkich zadań; **2 nagroda** za rozwiązanie choćby kilku zadań bez błędu, **i 3 nagroda pocieszenia** dla tych, którzy nie otrzymali jednej z dwóch pierwszych nagród. Co kwartał będzie przyznana **nagroda autorska** za najlepsze zadanie w ciągu tych 3 miesięcy, którą uzyska drogą głosowania najpopularniejszy autor. Prosimy zatem o podawanie głosu na najlepsze zadanie przy rozwiązaniu konkursów.

ZAD. 1. — REBUS NR 1 Z CYKLU: „REBUSY LITERACKIE",

uł. **N. K. Kozłowski & „John Ly"**, czł. Kl. Szar.



Oprócz zasadniczego rozwiązania prosimy podawać nazwisko autora danego dzieła.

ZAD. 2. — SZARADA „ŚNIEŻNA WOJNA", Z CYKLU: „ROZKOSZE ZIMOWE",

uł. **„Dziadek z Bakszty"**, czł. Kl. Szar.

Piersza i trzecia bitwa się toczy
na zaśnieżonej polanie,
śnieg niejednemu zalepił oczy, —
śmieją się Janki i Anie...

Wre **piewsza-druga, czwarta i trzecia,**
kto kogo zwycięży dzisiaj:
czy pełen werwy oddziałek Miecia,
czy spokojniejszy też Zdzisia?

Jedna i druga, **czwarta i druga,**
gdy trafia w widzów znienacka
i ich ponosi, jak lawy struga,
krew niespokojna sztubacka!

Do **pierwszej-piątej** staną li wszyscy:
starsi, uczniowie i dzieci,
chłopcy. dziewczęta, wysocy, niscy, —
białych pocisków grad leci!...

ZAD. 3. — DROGOWSKAZY,

uł. **„Wacek"**, — Kraków.

Z poniżej podanych drogowskazów. po przestawieniu liter, ułożyć należy 3 znane przysłowia. Dla ułatwienia przy każdym podajemy litery parami, ułożone w porządku kolejnym.

1.
Gmina Przasnysz
do Saczepla
sioło Tłoże

Litery ułożone parami:
an, ces, ia, iż, le, na, od, om, ot, ps, ro, sł, yp, za, zg, zł.

2.
Powiat Lesko
g. Łazy
do N. Czakłatna

Litery ułożone parami:
az, do, eg, ka, kc, la, ła, ni, op, ow, su, ta, yt, zł.

3.
Granica — Powabu
do Rayczakana

Litery ułożone parami:
a, ac, ac, ai, an, ar, na, od, og, pr, uk, yw, zb.

ZAD. 4. SZARADA. KULTURA A REBOURS,

uł. **„Kasta"**, czł. Kl. Szar,

Nie **piąta-siódma** na sielanki,
na **drugi-czwarty** nie ma czasu,
gdy słychać płacz gwałconej branki,
gdy depczą ludzi w imię „rasy",
jak inne **pierwsze-siódme-szóste.**

Dziś **pierwsza-druga-trzecia** *) płocha
wraz z Marsem wzięła świat w władanie,
A on **pięć** złud utracie szlocha,
czasu nie mając baczyć na nie,
bo o **dziesiąty** walka bóstwem,
zasobnem w cynizm i rozpustę.

Największy **osiem wspak-dziesiąty**
ma dzisiaj kula, gaz i wrzątek,
i nadewszystko ten jest kontent,
kto wsadzi nóż pod **sześć-dziesiąte.**

— Kultury duch oddawna drzemie
i niknie **siedem-trzy-pierwszemi.**

Rozwiązanie zadań z całego konkursu należy nadsyłać do dnia 28 lutego rb. pod adresem Redakcji dla Działu Rozrywek Umysłowych. Ważna data stempla pocztowego.

*) T — TT.

P. S. 1. Kierowniczka Działu R. U. podaje do wiadomości PT. Czytelników, że obecnie adres prywatny jej jest następujący: ul. Boczna Kościuszki, dom hr. Borkowskich, m. nr 4,

P. S. 2. Termin rozwiązania Nr 1/40 przedłużony zostaje do 14 lutego r. b. Brakujący klucz do arytmografu noworocznego podamy w następnym numerze.

Rozmaitości

Człowiek, który nie otwiera listów

W tych dniach stanął przed urzędem policyjnym w miejscowości Sandwick w Anglii przedsiębiorca budowlany oraz handlarz placami, niejaki Lister z powodu przekroczenia ustawy o ruchu automobilowym. Na zapytanie, dlaczego nie odpowiedział na kilkakrotne wezwanie, oświadczył, **że od roku 1915 nie otworzył jeszcze ani jednego listu.** Jako właściciel wydzierżawiał kilkaset placów, będąc stale zasypywanym kilkuset listami w sprawach handlowych. Z tego powodu powziął decyzję, aby uwolnić się od potrzeby odpisywania na listy — nieotwierania ani jednego listu. Urząd policyjny, wziąwszy tę okoliczność pod uwagę, ukarał Listera grzywną tylko w wysokości 10 szylingów.

Krwawe jezioro

Lago di Towel jest jeziorem wynoszącym 1000 metrów długości oraz 35 metrów głębokości. a położonym u stóp Dolomitów na wysokości 1162 metrów ponad poziom morza. Jego przez cały rok **niebiesko-zielona woda latem przybiera barwę jasno-czerwoną,** budząc podziw nie tylko u turystów, ale i u miejscowej ludności. która do tej pory nie była w stanie zrozumieć, ani wytłumaczyć sobie powodu z tego dziwu natury, obdarzając go mianem „krwawego jeziora". Ostatnio zagadką tą zajął się znany przyrodnik włoski, profesor Vittorio Largaiolli, przeprowadzając szczegółowe badania. — Stwierdził, że tę czerwoną barwę latem przybiera jezioro od milionów drobnych żyjątek koloru czerwonego, które rozmnażają się w tak olbrzymiej ilości, że zajmują czasami całą przestrzeń jeziora. W gorących dniach, przy bardzo silnym promieniowaniu słońca, woda jeziora przybiera barwę tych właśnie żyjątek.

Muzeum pustyni

W miejscowości Onarglia na Saharze zostało, z inicjatywy oraz ofiarności oficerów francuskich wojsk kolonialnych, założone „muzeum pustyni", zawierające bardzo wiele eksponatów, dotyczących życia pustyni z dawnych oraz obecnych czasów.

---

pokrewieństw w postaciach), Kędziora rezygnuje bez żalu (i bodaj czy nie słusznie) z nutki folklorystycznej, ustrzegł się barwnych strojów i malowanych chat, elementów dekoracyjnych tak bardzo już w powieści nadużywanych, i poszedł po linii najprostszej, i na jego pochwałę powiedzieć należy, najodpowiedniejszej. Stary Jadam ożenił się po raz drugi z Jagną, i nieszczęśliwie przepisał na nią swój majątek. To też Jagna poczuła się panią domu. Marcyna, córka Jadama, musi wykonywać najczarniejszą robotę, a za to Kunda, córka Jagny, ma złote życie. Jagnie jednak sprzykrzył się wkrótce stary Jadam i nawiązała romans z Antkiem. Potem wybuchły kłótnie, Jagna wypędza z domu męża i Marcynę, i wprowadza Antka. Stary Jadam umiera ną wiadomość, że Jagna chce grunt zapisać na Antka, a Marcyna chce z zemsty podpalić całe gospodarstwo, ale w ostatniej chwili powstrzymuje się, bo uświadamia sobie, że to przecie jest ojcowizna. Na tym kończy się pierwszy tom powieści. Akcja jest bardzo nikła, wskutek czego opowiadanie ogromnie rozwlekłe, obficie wyładowane dłużyznami, które też wyraźnie skrzywiają linię kompozycyjną powieści, pozostawiającą niejednokrotnie wiele do życzenia. Na czoło wysuwa się tutaj przede wszystkim realizm, którym też wytłumaczyć należy niedostatki utworu. Wynikałoby z tego, że na wsi naprawdę ludzie tak wiele tracą czasu na wypowiedzenie często nawet prostych myśli, że tam logika myślenia jest zgodna ze zbytnimi dłużyznami dialogów, że tam nie robi się z codziennej pracy folkloru efektownego, że życie jest ciężkie, twarde i nie bajecznie kolorowe. To właśnie chciał Kędziora szczególnie silnie podkreślić i dlatego realizm podciąga do najdalszych granic, nie omijając niczego, nawet owego „ło", które wtrącane do gwary tak bardzo utrudnia czytanie. Powieść jest niewątpliwie zjawiskiem bardzo ciekawym, choć wymaga dość ostrej kontroli, nakazującej pewne konieczne skreślenia. Jeszcze jedna uwaga. Kędziora operuje prawie wyłącznie dialogami, opisy należą w jego książce do rzadkości, a przyroda wprost nie istnieje. To ustawiczne dialogowanie jest ogromnie męczące, chciałoby się bodaj trochę wypocząć, zwłaszcza, że gwara również nie należy do najlżejszych. Ale i tutaj znalazłoby się usprawiedliwienie. Czy naprawdę przyroda na wsi budzi jakieś romantyczne nastroje? Ziemia jest żywicielką i niczym więcej — tak rozumuje Kędziora. To pewne, że ogólne wrażenie jest takie: powieść Kędziory będzie bardziej zrozumiałą przez wieś niżeli przez czytelników miastowych, ale wieś, która ma dość w życiu codziennym swoich trosk. takich książek nie czyta. A czytelnik miastowy postawi jeden i dziesiąty zarzut.

Nowa powieść **Gustawa Morcinka p. t. „Inżynier Szeruda"** (wyd. Rój), druga nagroda na konkursie I. K. C., wyraźnie odbiega od dotychczasowej jego twórczości. W poprzednich powieściach czy nowelach jest Morcinek przede wszystkim pisarzem regionalnym, pragnie wprowadzić Śląsk do literatury polskiej i zaprezentować przed społeczeństwem Ślązaków w ich codziennym życiu, małych ludzi i wielkich bohaterów. szarych pracowników w kopalniach i marzycieli pragnących odzyskać ojczyznę. To jest właśnie świat twórczości Morcinka. Znajdujemy to w jego pięknej powieści p. t.: „Wyrąbany chodnik", poprzez wszystkie opowiadania i nowele, w których zjawia się przede wszystkim człowiek. związany całą swoją istotą ze swoją ziemią. „Inżynier Szeruda", to powieść o szerszym zasięgu treści. W pewnej kopalni węgla od kilku lat pali się pokład. Ogień grozi w każdej chwili całej załodze pracujących w innej stronie kopalni. Inżynier Szeruda, kierownik kopalni. postanawia ogień zagasić tzw. zamułką. Rozpoczyna się emocjonująca walka człowieka z wrogim żywiołem i w chwili, gdy człowiek jest już zwycięzcą, gdy ogień został zgaszony, tama, za którą gromadzi się zamułka zostaje przerwana i odcina sześciu górników od reszty świata. Teraz akcja powieści rozdwaja się, Morcinek co chwila przerzuca ją raz do zasypanych górników, drugi raz do tych, którzy usiłują towarzyszy uratować. W tej drugiej części powieści stopień dramatyczności powieści z każdą chwilą wzrasta. Te wypadki wypełniają właściwie w całości akcję powieści, tworząc szereg motywów o wysokim poziomie artystycznym i głębokim wyczuciu psychiki ludzkiej, poddanej przez rozgrywające się wypadki tragicznej próbie wytrzymałości. Przeżycia zasypanych górników są tak plastyczne, i tak mocne w ekspresji, że silnie odbijają się w wyobraźni czytelnika. Obok tego jednak snuje się w powieści drugi motyw: przeżycia inż. Szerudy, który cierpi na kompleks małości, nie umie znaleźć siebie samego, ani też zrozumieć własnej duszy. Szeruda po stracie żony, która go porzuciła. czuje niechęć do świata, posiada nadmiernie wysubtelnione poczucie krzywdy, zdaje mu się. że wskutek swoich osobistych przeżyć jest jakimś, innym człowiekiem. który nigdy nie zdobędzie się na wysiłek, aby sharmonizować się z życiem, rozwijającym koło niego swoje radości. Katastrofa w kopalni wywołuje w nim dramatyczny proces, Szeruda załamuje. się jest bliski samobójstwa, i wreszcie uzależnia własne życie od tego, czy zasypani górnicy zostaną uratowani. Te przeżycia Szerudy są bardzo ludzkie. niemniej jednak w powieści ich związek z motywem „górniczym" jest jeszcze zbyt luzny. Każdy rozumie, o co Morcinkowi szło, ale równocześnie odczuje, że brak tu jeszcze jakichś spoideł, głębszych uzasadnień, silniejszych i plastyczniejszych uchwytów w psychice bohatera powieści, — Świetne sceny z kopalni dość słabo wiążą się z przeżyciami Szerudy. I dlatego nie Szeruda jest ośrodkiem akcji, ale kopalnia, nie jego dramat, ale rozpaczliwa walka z ogniem i los zasypanych górników. Te sceny są doskonałe, wnoszące do literatury nowe, wysokiej klasy wartości.

Powieść **Janiny Surynowej-Wyczółkowskiej pt. „Kobieta i basta"** (co za pompatyczny tytuł) nie jest już debiutem, ponieważ autorka ma już w swoim dorobku literackim dwie powieści („Ambicje Weroniki", „Jego kobiety") i tom szkiców pt. „Warszawianka". A jednak nie wiedząc o tym można by sądzić, że i ostatnia powieść wyszła spod pióra początkującego pisarza. Są to dzieje młodej malarki Marty, która po ukończeniu studiów w Monachium, Paryżu itd. zostaje w Warszawie najpierw dekoratorką w kabarecie, a potem otwiera przedsiębiorstwo dekoracyjne i wreszcie wychodzi za mąż. Autorka pragnie jeszcze raz wytłumaczyć czytelnikowi, że nawet najsamodzielniejsza kobieta ostatecznie dąży do małżeństwa. Historia stara jak świat. Ale najbardziej antyczne zagadnienie pod piórem zdolnego pisarza nabiera rumieńców młodości. Niestety, w powieści Wyczółkowskiej tak nie jest. Artystycznie autorka jeszcze przebywa w naszej powieści z pierwszej połowy XIX wieku. Nie ma zupełnie dialogów, co jednak jeszcze nie jest zarzutem, ważniejszy jest patos, którym aż do ostatniej granicy wytrzymałości darzy czytelnika. Koturnowość, nadmiar uwag reżyserskich. zwracanie się wprost do bohaterów, z którymi bardzo często najczulej flirtuje, pozbawia powieść wszelkiej możności zainteresowania.

KUPON Nr 3/42

ważny do dnia 28 lutego 1937 r.

ŻYCIE RELIGIJNE

Przegląd spraw religijnych

Jeśli chodzi o stan zagrożenia poszczególnych państw przez komunizm, to — poza Rosją i Hiszpanią — uważa się Francję i Czechosłowację za dwa państwa najbardziej przez komunizm zagrożone. O Francji wiele się pisze. O Czechosłowacji mniej...

KOMUNIZM W CZECHOSŁOWACJI.

W grudniu ub. r. we wszystkich kościołach Czechosłowacji odczytano zbiorowy list pasterski poświęcony komunizmowi. Episkopat tego kraju zwrócił uwagę społeczeństwa na bezbożniczy charakter ruchu komunistycznego i na jego fałszywe założenia gospodarcze (kolektywizm). Dalej poddał krytyce zasady liberalizmu gospodarczego i społeczeństwo wezwał do zorganizowanej akcji przeciwkomunistycznej. Przy tej sposobności w słowach dyskretnych wytknął Episkopat pewnym partiom politycznym „egoizm" grupowy zwracający się przeciw dobru publicznemu. Wreszcie jako podstawę dla zorganizowanej akcji antykomunistycznej wysunął Episkopat — realizację zasad zawartych w społecznych encyklikach papieskich.

List pasterski stał się przedmiotem żywych dyskusyj w prasie. W sposób bardzo charakterystyczny zareagowało na ten list „Prawo Ludu", organ partii socjalno-demokratycznej. Dziennik zarzucił biskupom że „przeceniają" niebezpieczeństwo komunizmu, ale też wyraził zadowolenie (!) z powodu, że zalecają uprzystępnienie zdobyczy kultury i dobrobytu masom. „W tym kierunku — zapewnił — idziemy socjaliści zgodnie z katolikami".

W parę dni później wywołali komunistyczni posłowie w parlamencie awanturę przeciw ministrowi kolei, socjaliście p. Bechynie, a to z powodu, że minister nie dopuszcza komunistów do służby na kolejach. W odpowiedzi na wniesioną w tej sprawie interpelację socjalistyczny minister odpowiedział: „Na kolejach czeskosłowackich nie ma miejsca dla robotników i urzędników komunistów".

WRAŻENIE LISTU PASTERSKIEGO.

Na list pasterski przeciw komunizmowi odpowiedziała w zasadzie przychylnie liczna prasa stronnictwa agrariuszów, najsilniejszego w państwie. A to tym bardziej, że pewna część tej partii już od dość dawna bardzo ostro zwalcza komunizm w Czechosłowacji i nawet atakuje sojusz wojskowy czesko-sowiecki. Naczelny organ partii, „Venkov", przytoczywszy cały szereg wyjątków z listu pasterskiego, wyraził przekonanie, że zasady listu będą powszechnie przez katolików przyjęte, przy czym katolickiej „Lidowej Stranie" zrobił zarzut, jakoby dotąd lekceważyła niebepieczeństwo komunizmu.

W odpowiedzi na to znów katolickie „Lidowe Listy" wypomniały Venkowowi", że teraz nagle partia agrarna odkryła, iż enuncjacje władz kościelnych mogą być bardzo pouczającymi. Ale też zarzuciły organowi agrariuszów, że wychwytuje z listu pewne ustępy, dla siebie dogodne, a przemilcza inne.

Takie rozmówki i przekomarzania się rozwinęły się w Czechosłowacji pod wpływem listu pasterskiego. Trzeba jednak powiedzieć, że list pasterski zrobił swoje i wywarł duże wrażenie. Oby zjednoczył społeczeństwo do walki o te zasadnicze podstawy ustrojowe, które atakuje komunizm. Trzeba tego życzyć Czechosłowacji choćby dlatego, że jest naszym sąsiadem.

NEOPOGANIZM W CZECHACH.

Katolickie „Lidowe Listy" z 8. I. b. r. podają jeden bardzo ciekawy przyczynek do stanu kulturalno-duchowego w Czechosłowacji... Piszą, że czeska partia agrariuszy brała udział w obradach w sprawie komunizmu zorganizowanych przez partię Henleina (czeski odpowiednik do niemieckiego narodowego socjalizmu). Jest to o tyle ciekawe, że „henleinowcy" myślą o przyłączeniu t. zw. Sudetendeutschlad (północno-zachodniej części Czech) do III Rzeszy. „Lidowe Listy" wyrzucają agrariuszom, że w swej walce z komunizmem popadają w zależność ideową od hitleryzmu, i od niemieckiego neopogaństwa. Mianowicie, iż niektóre organy agrariuszów przyswoiły sobie pewne neopogańskie pojęcia od Rosenberga i Darrego (tworzącego nowy, niemiecki, „stan rolniczy"). Na dowód cytują następującą „modlitwę", którą agrariuszowska „Domovina" zamieściła:

„Modlimy się do wiecznego Boga naszego, do naszych pól, łąk, lasów, szczytów gór, wód i słońca, — modlimy się także do naszego rolniczego Boga i do naszej matki Przyrody. Niech im będzie na wieki oddawana cześć i chwała".

W III Rzeszy mówi się o „niemieckim bogu", w Czechosłowacji ludzie modlą się do „matki Przyrody"... Jest dziwne, że człowiek 20. w. woli modlić się do słońca lub do szczytów górskich, albo do stworzonego przez siebie narodowego boga, niż do — Boga Objawienia, Boga Ewangelii! Jest to dziwne, bo nawet prosty rozum nie może się tu dopatrzyć sensu.



UNIA W POLSCE.

W wiedeńskiej „Reichspost" (1. I. b. r.) pojawiło się sprawozdanie ze zjazdu grecko-katolickich teologów w dniach 22—25 grudnia ub. r. we Lwowie, który był niejako zapoczątkowaniem trzechsetnego roku jubileuszowego śmierci metropolity Welamina Rutskiego, jednego z twórców „unii brzeskiej". Zjazd ten zorganizował rektor Akademii teologicznej grecko-katolickiej we Lwowie, Ks. Slipyj, a przewodniczył mu biskup obrządku wschodniego, Ks. Czarnecki. Wzięli w nim udział teologowie z świeckiego i zakonnego duchowieństwa. Przybył także — mimo choroby — Ks. Metrop. Szeptycki i wygłosił dłuższe przemówienie na temat unii.

Jedną z przyczyn nikłości owoców pracy unijnej w Polsce — mówił Ks. Metrop. Szeptycki — jest to, że się w niej stosuje niewłaściwe metody, mianowicie metody brane wprost z pracy misyjnej w pogańskich krajach. Słowo „misja" — streszcza „Reichspost" przemówienie Ks. Metrop. Szeptyckiego — w ogóle powinno z pracy unijnej zniknąć, ponieważ chodzi nie o nawracanie pogan, lecz o pozyskiwanie rozdzielonych od nas „tylko cienką przeszkodą" braci.

Inni referenci — czytamy w „Reichspost" — podnosili polityczne trudności akcji unijnej. „Przez te (polityczne) tarcia cała praca pozostaje bez rezultatu, i to w czasie — cytujemy dosłownie sprawozdanie wiedeńskiego dziennika, — gdy całe wsie prawosławne zgłaszają się do Unii pod warunkiem, że otrzymają grecko-katolicką hierarchię, a nie będą poddani polskiej. I nie dlatego odrzucają tę ostatnią, że jest rzymsko-katolicka, ale dlatego, że należy do polskiego narodu, i dlatego, że ludność ukraińska w obecnych politycznych warunkach boi się, iż na tej (!) drodze ulegnie polonizacji. Nie chodzi tu o to, czy ta obawa jest uzasadniona (!), czy nie (!), ale o to, że ta obawa jest rozpowszechniona, i —jak się pokazuje — nie do pokonania tak, że na tym cierpi dojrzała już do powodzenia sprawa unii".

Więc znowu stare żale i stare zarzuty, któreśmy przed laty 10 czytali na łamach zagranicznej prasy katolickiej we Francji, w Niemczech, we Włoszech... Polska przeszkadza dziełu Unii przez swoje polityczne polonizacyjne zapędy, gdyby nie to, unia byłaby faktem, bo „całe wsie prawosławne" gotowe są przyjąć katolicyzm, byle tylko nie z rąk polskich... Taki jest sens wywodów nie podpisanego zresztą sprawozdawcy ze zjazdu lwowskiego.

A teraz z tymi zarzutami zestawmy wprost przeciwne zarzuty. Stawia je część Polaków, w tym nawet księża i teologowie, iż akcja unijna na naszych wschodnich kresach idzie rzekomo za daleko w ustępstwach na rzecz Wschodu i sprawie polskiej wyrządza szkodę. Tak twierdzi m. in. p. Charkiewicz na łamach wileńskiego „Słowa".

Pejot.

MARIAN MANTEUFFEL

IMIĘ PANA BOGA

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Franklin D. Roosevelt, zakończył swe Orędzie, wypowiedziane w marcu 1933 r. do Kongresu, następującymi znamiennymi słowy:

„W tym uroczystym dla narodu dniu wszyscy pokornie prosimy Boga o błogosławieństwo. Oby nas wszystkich miał w Swojej opiece. Oby mnie prowadził w przyszłości".

Znamienny jest ten zwrot Prezydenta Stanów Zjednoczonych do Boga, nie spowodowany koniecznością stosowania jakiejś uświęconej tradycją formułki, ale wypływający z osobistych pobudek, na głębokiej opartych wierze. Tenże prezydent Roosevelt wygłosił pod koniec ubiegłego roku na uroczystej inauguracji wszechamerykańskiej Konferencji przemówienie, w którym użył, między innymi, takiego zwrotu:

„Wyrażamy naszą ufność do świata zachodniego oświadczając, że utrzymujemy nadal demokratyczną formę rządów i że chcemy tej formy bronić. Ta nasza wiara byłaby niedoskonałą, gdybyśmy nie zaświadczyli jednocześnie o naszej wierze w Boga, zagwarantowanej w przewidzianej w naszych konstytucjach wolności sumienia".

Więc znowu podkreślenie z wysokiego miejsca potrzeby wiary w Boga, jako fundamentu pomyślności państw i narodów, fundamentu ładu i pokoju.

Dlaczego jednak tego rodzaju śmiałe, piękne i bardzo ważkie enuncjacje, stwierdzające to, co u narodów i państw korzystających z dobrodziejstw cywilizacji chrześcijańskiej winno wszak być najbardziej istotnym — należą wciąż jeszcze do ewenementów niezmiernie rzadkich? Czyżby świat chrześcijański nie wyzwolił się jeszcze z atmosfery gryzącego czadu, którą przyniosły ze sobą minione wieki, XVIII XIX, w postaci deizmu, pozytywizmu i materializmu? Czyżby się ludzie dziś jeszcze wstydzić mieli głośnego wyznawania swej wiary, czyżby nie rozumieli, że od chwały Bogu Najwyższemu oddanej rozpoczynać się winna każda czynność człowieka? Dlaczego w Polsce nie słyszymy z miarodajnej strony głośnego stwierdzenia tego, że Polska również oddaje swe losy w ręce Boga, bez żadnej reszty, bez żadnych zastrzeżeń? Jakżeżby takie wyraźne postawienie kwestii, jakżeżby takie mocne, odważne słowo, wypowiedziane głośno a stanowczo u góry, ułatwiło u dołu walkę z komunizmem i wszelkimi innymi knowaniami, zagrażającymi Polsce chrześcijańskiej, jakżeby skupiło dokoła władzy państwowej, mocno a nierozerwalnie, cały prawdziwie chrześcijański świat polski. Polska z wizji wigilijnej — mówił w wigilię Bożego Narodzenia ks. prymas Hlond — to Polska rozumiejąca swe chrześcijańskie powołanie, wpatrzona w Boże zamiary w swych dziejach.

Obserwujmy dziś — nie tylko w Polsce, ale przypuszczalnie na świecie całym — dziwne zjawisko, że się na ustach ludzi wpływowych, ludzi piastujących wysokie stanowiska, rzadko — niestety — jawi imię Boga, pomimo, iż właśnie dziś — w czas burzy i zawieruchy — stamtąd głoszone, mogłoby wyjątkowo błogosławione nieść owoce. Natomiast używają codziennie tego Imienia tłumy ludzi w sposób jak najbardziej nieodpowiedni, nieraz bluźnierczy, jako bezmyślną formułkę, bez należnego szacunku i bez związku z wyznawaną wiarą. „Boże!" — „Na Boga!" — „Na miłość Boską!" — „Jezus — Maria!" — wołają co chwila niezliczone zastępy obojętnych, nieraz wprost niewierzących. „O rany!" — to zwrot często spotykany wśród młodzieży. Kiedyś słyszałem, jak ktoś grający w karty użył, przy przebijaniu, jakiegoś „dowcipnego" zwrotu zaczerpniętego z męki Zbawiciela. I ludzie używają takich słów, nie zdając sobie najczęściej, najzupełniej sprawy z tego, jak bardzo obrażają w ten sposób Boga. To są skutki tej straszliwej ignorancji religijnej, jaką się u nas spotyka, i zupełnego braku chociażby śladów jakiegoś wewnętrznego życia. A drugie przykazanie Boskie mówi wszak wyraźnie: „Nie będziesz brał imienia Pana Boga twego nadaremno". Bóg jest doprawdy nieskończenie cierpliwy i nieskończenie miłosierny.

Był kiedyś w dawnej Polsce piękny zwyczaj witania względnie pozdrawiania przy odwiedzinach krewnych i znajomych słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!" Dziś zachował się on po części wśród duchowieństwa. Tam jeszcze można się z nim spotkać. Czasem — bardzo rzadko — użyje go ktoś ze świeckich, ale tak, jakby wydobywał z lamusa jakiś staroświecki, dawno nie przywdziewany strój. Nie ma w tym szczerości i prawdy — czuć wyłącznie formę. A niejeden dobry katolik choćby i chciał może zwrócić się nieraz z tym pozdrowieniem do swych bliźnich — waha się i w końcu daje najczęściej spokój, bo nie wie — doprawdy nie wie w czasach dzisiejszych — jakby to pozdrowienie zostało przyjęte.

Na wsi — na tej wsi przeważnie spokojnej, która zazwyczaj bliżej jest Boga, niż miasto o tysiącach pokus różnorodnych, miasto deprawujące, — na wsi rzuca się chętnie pracującym w polu ludziom radosne: „Szczęść Boże!" Tam ono znajduje wdzięczne serca. Ale powtórzcie to samo w lokalu fabrycznym. Nie zawsze traficie na grunt odpowiedni. Inna wręcz atmosfera — choć świat ten sam. Świat dzisiejszy jest na ogół pełen ostro zarysowanych kontrastów — nieraz krzyczących.

W czasie wielkiej wojny roiło się w obozach niemieckich od napisów, które stały się potem tak głośne: „Gott strafe England!" (Niech Bóg ukarze Anglię). To było rzeczywiście „pobożne" życzenie. A zwroty w rodzaju: „Unser deutsche Gott" (nasz niemiecki Bóg) mówiły same za siebie. Czuć w nich było zaczątek — przyszłego neopogaństwa.

Po tym wszystkim doprawdy dziwić się już nie można, że kanclerz Hitler, który gnębi katolicyzm w Niemczech, patronuje neopogaństwu Rosenberga, toleruje niesłychane wypady prasy niemieckiej przeciwko katolicyzmowi a nawet chrześcijaństwu, który ma na sumieniu masakrę Röhma i towarzyszy — mógł spokojnie zakończyć swe przemówienie do partii narodowo-scjalistycznej z okazji nowego roku, słowami:

„Jeżeli tak będziemy działać, Bóg Wszechmogący będzie nas błogosławił w przyszłości, tak jak w przeszłości. Składając dzięki Wszechmogącemu i korząc się przed Jego Majestatem, błagamy Go o błogosławieństwo dla naszego narodu i naszych wysiłków",

Czytając przed laty „Mein Kampf", odniosłem wrażenie, że kanclerz dzisiejszy jest analfabetą w kwestiach wiary. Późniejszym życiem dowiódł tego. Ostatnio zdradził zupełną nieznajomość drugiego przykazania.

Wszystko, co przytoczyłem wyżej, wskazuje na to, że t. zw. świat chrześcijański, jest w dużej mierze chrześcijańskim tylko i wyłącznie z imienia. Dużo wody upłynie — dużo krwi wsiąknie w ziemię — dużo serc pęknie z bólu — zanim promień idący od tego Imienia przepoi wreszcie treść samą do gruntu. Przyjdzie ten czas. Przyjdzie z pewnością. Tylko — kiedy?

Kiedy człowiek przestanie patrzeć wciąż tylko pod swe nogi — kiedy ku gwiazdom zwróci twarz! Jak mówi Zdzisław Kleszczyński w swym wierszu drukowanym w noworocznym numerze „Kuriera Warszawskiego":

Więc w górę patrz, bo w górze nie ma wojny,
bo wszechświat jest wspaniały i spokojny,
bo w dole wrzask — a w górze mir i ład!

Pascal powiedział (Myśli): Wielkość człowieka jest wielką w tym, iż on zna swoją nędzę. Drzewo nie zna swej nędzy.

Za mało mamy dziś jeszcze — prawdziwie wielkich ludzi. Za mało. Za to za dużo: mających pretensję do wielkości.